„Dziewczynka w czerwonym płaszczyku” Roma Ligocka (fragmenty).

- Mam kenkarty - szepcze mój tata z dumą. - Prawdziwe, kradzione, aryjskie kenkarty. Nazywasz się teraz Ligocka, mój skarbie. I mam też kryjówkę. To dobra kryjówka.

Znów siedzą przy stole i rozmawiają. Bardzo cicho i potajemnie. Inni nie powinni tego słyszeć. A ja siedzę w mojej kryjówce i przysłuchuję się im.

- Ligocka... - mruczy mama. - Czy dziecko potrafi to zapamiętać? L-I-G-O-C-K-A... Będziemy musieli to z nią przećwiczyć... od tego może zależeć nasze życie...

Przecież ja się nazywam Liebling, myślę. Nie chcę się nazywać inaczej. Mam na nazwisko Liebling i już...

- Ligocka... - mruczy znów moja mama. Wzdycha i siąka nos. - Ileś ty za to zapłacił? - szepcze potem.

Łypię ukradkiem spod stołu. Moja mama rozgląda się nieufnie wokoło. Ale ci inni ludzie nie zwracają na nią uwagi. Mają wystarczająco dużo własnych zmartwień. Jedna z kobiet myje w kącie włosy. Dwie inne kłócą się o coś. Chudy mężczyzna z brodą siedzi na krześle i patrzy nieruchomo w przestrzeń.

Tata wzrusza ramionami.

- Prawie wszystko, co mieliśmy - mówi z goryczą.

Głaszcze mamę po włosach. Ona opiera się na jego ramieniu i zamyka oczy.

- Nie chcę się nazywać Ligocka! - mówię głośno. - Mam na nazwisko Liebling, tak jak wy!

Wyciągają mnie z mojej kryjówki i zaczynają mi tłumaczyć. Ćwiczą razem ze mną moje nowe nazwisko, dopóki nie jestem zbyt zmęczona. Znów wczołguję się pod stół.

Jeszcze długo rozmawiają, ale ja nic nie słyszę.

Siedzę pod stołem i myślę o Stefusiu.

Ciągle czekamy na nic. Czekamy dzień i noc. Nikt nie wie, co będzie jutro. Jesteśmy sortowani, jesteśmy ciągle sortowani jak jakiś towar. Okrążają nas ulica po ulicy, dom po domu.

Starzy ludzie też sobie teraz farbują włosy, żeby wyglądać młodziej i nie dostać się do transportu. Żeby być jeszcze potrzebnym. Ale młodość też niczego nie gwarantuje. Na nic nie ma gwarancji. Nie

ma prawa do czegokolwiek. Papiery są kontrolowane, wybór zostaje dokonany na oślep, według ich własnych reguł. Raz są to kobiety, raz mężczyźni, raz młodsi, raz starsi. Strach nas paraliżuje, bo każdy ruch, każde słowo mogą być fałszywe. Wszystko jest zakazane, a jednak nigdy nie możemy być pewni, czy nie robimy czegoś jeszcze bardziej zakazanego i z którego kierunku dosięgnie nas kula. Staramy się upodobnić do kamieni, do murów. Staramy się przestać istnieć. Staramy się też nigdy nie puszczać dłoni, którą ściskamy. Jeśli się ją puści, to ona na pewno zaraz zniknie. Ludzie idą sobie i po prostu nie wracają. Ledwo się człowiek przyzwyczaił do jakiejś twarzy, ona już znika.

Nie ma mojego taty. Gdzie jest?

- W Płaszowie - mówi mama sucho.

Stoi przy piecu i szuka cebuli, którą miała w kieszeni fartucha. Widziałam, jak ta chuda kobieta ją wyjmowała, ale nic nie mówię. Jestem zadowolona z tego, że nie muszę nic jeść, bo mama nie ma cebuli. Płaszów... znam tę nazwę. Wiem, że tak się nazywa obóz. Wsadzają ludzi na ciężarówki i wiozą ich tam. Tak opowiadają ludzie. Sama to słyszałam.

Moja mama klnie pod nosem.

- Ci bandyci! - mruczy - kradną mi tę odrobinę jedzenia! Zdzierają ze mnie ubranie!

Odkąd babcia znikła i przestała szyć, nie mamy już niemal nic do włożenia na siebie. Moje rzeczy są zniszczone i za ciasne. Prawie wszystkie piękne stroje mamy zostały rozkradzione.

- Czy tata wróci? - Wiem, że nie powinnam pytać, ale muszę to wiedzieć.

Mama nie odpowiada.

Wkłada mi czerwony płaszczyk, kuca przede mną i zapina go starannie. Jej dłonie drżą.

- Chodź - mówi - weź swoją walizkę. Idziemy.

Mój wewnętrzny głos ostrzega mnie, ale nie mam odwagi zapytać mamę, co zamierza. Ona też ma walizkę i wielką pakę pod pachą.

- Szybko - mówi, kiedy schodzimy po ciemnych schodach obok śmierdzącej toalety. Zatykam sobie nos, spieszę się, potykam. Mama chwyta mnie za przegub ręki, ciągnie za sobą.

Po ulicy chodzą tam i z powrotem mężczyźni w oficerkach. Rozmawiają ze sobą, śmieją się. Zatrzymuję się.

- Szybko!